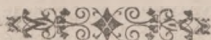


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



BALSAM.

Ukochany tatko chory!
Ni lekarstwa, ni doktory,
Nie pomogły nic!
Dopuszczenie to jest Boże
Na córeczkę, dziewczę hoże,
Którój żal znać z lic.

Ale tatko się uśmiecha
I powiada: — Tyś pociecha
Moja, córko droga!
Tyś jest balsam na mą ranę
Dziecko moje ukochane,
Próżna twoja trwoga:

Czy ja pójdę z tego świata
Tam, gdzie ludzki duch ulata,
Czy mi być przy tobie,
Przecież błagać będę zawsze
Za cię nieba najlaskawsze,
W zdrowiu i w chorobie,
I na tantym będę świecie,
Błogosławić cię, o dziecię!

Azet.



Balsam.

KRÓL BOHATER.

Opowiadanie historyczne.
przez starego nauczyciela.

(dalszy ciąg).

VIII.

Wielkie czyny wojenne Jana Sobieskiego, nie-
tylko uwielbienie zjednały mu w całej Europie, ale

zapewniły także niepospolitą powagę. Wszyscy monarchowie otaczali go szacunkiem, odwoływali się do rad jego i starali się pozyskać sobie życzliwość i pomoc takiego bohatera. Każdy go chciał przeciągnąć na swoją stronę. Leopold austriacki, nie mogąc mu już szkodzić, usiłował przynajmniej odstręczyć go od Francji, z którą sam był w wojnie. Król francuzki, Ludwik XIV, dużo przychylności okazywał Sobieskiemu i namawiał go, aby mu dopomógł zgnieść cesarza austriackiego. Król

szwedzki wzywał znów jego pomocy przeciw księciu Brandeburskiemu, godnemu następcy zaborczych Krzyżaków, który zakładał właśnie podwaliny potężnego państwa pruskiego. Szwedom sprzyjali Francuzi, a przymierze, mające na celu osłabienie potęgi dwóch takich niebezpiecznych sąsiadów, jak cesarz austriacki i Brandeburczyk, było w rzeczy samej bardzo korzystne dla Polski. Na stolicę apostolską wstąpił właśnie w czasie zawarcia pokoju żórawińskiego Inocenty XI. Odescalchi, który był dawniej nuncyuszem w Polsce i dawał ślub Janowi Sobieskiemu z Maryą Kazimiłą. Papież ten, osobistą przyjaźnią związany z królem polskim, nie tylko błogosławieństwa i łaski zlewał na niego, ale otworzył mu skarbiec stolicy apostolskiej i nadesłał znaczną sumę na koszt wojny z niewiernymi.

Król Jan nie lubił zgiełku stolicy, najchętniej przebywał w rodzinnej swj. Żółkwi, i tu jednak nie był bezczynnym, przemysliwał ciągle nad potrzebnymi w kraju ulepszeniami i reformami, przyjmował także posłów cudzoziemskich, układał różne plany polityczne. Teraz, gdy Turcja przycichła trochę, mądry król nie był od tego, aby osłabić potęgę hardego Brandeburczyka i Leopolda austriackiego, który nigdy, ani Polsce, ani Sobieskiemu nie sprzyjał. Występować otwarcie przeciwko Austrii nie było powodu, ale można było jej szkodzić przez Węgrów, którzy rokosz podnieśli i wszędzie szukali pomocy, i u króla francuzkiego, i w Polsce, i nawet u pogańskich Turków. Sobieski patrzył na to przez szpary, jak wysłańcy francuzcy zbierali na ziemi Rzeczypospolitej ochotników do powstańczego wojska węgierskiego, nie bronił nawet Lubomirskiemu, wysokiemu dostojnikowi swojego dworu, czynnie do tego dopomagać.

I Szwecyi także okazywał dość wyraźną życzliwość, gdy zabierała się do walki z Frydrykiem Wilhelmem, księciem Brandeburskim, a ten domysłając się tego, starał się intrygami podburzać sąsiednie miasto Gdańsk przeciw królowi Polskiemu. Sobieski musiał sam zjeżdżać do Gdańska i obecnością swoją uspokajać umysły.

Żył wówczas w tém mieście znakomity astronom Heweliusz; król Jan, miłujący zawsze nauki, odwiedził go i bardzo łaskawie się z nim obchodził, a mąż uczony odpłacał mu się uwielbieniem wielkiem, na cześć jego nadał konstelacyi, oznaczonej przez siebie na sklepieniu niebios, nazwę tarczy Sobieskiego.

W tych czasach w całej Europie zapanował był pokój, a raczej zawieszenie broni, gdyż nieporozumienia pomiędzy mocarstwami trwały ciągle. Król francuzki, Ludwik XIV, czynił królowi

polskiemu bardzo pojętne obietnice w razie, gdyby mu chciał dopomagać przeciw dwom państwom, z któremi był w nieprzyjaźni, Austrii i Brandeburgii. Z jednej strony ofiarował mu koronę węgierską, z drugiej powrót Polsce Pomorza. Nie tylko więc korzyści osobiste, ale i dobro kraju mogło skłaniać Sobieskiego do utrzymania przyjaznych stosunków z monarchą francuzkim.

Tymczasem znaleźli się ludzie nierozumni i zawistni, którzy mu to zarzucali, jak występpek, oskarżali go przed narodem, że zapomina o najgroźniejszym wrogu, Turczyźnie, a zamierza wplątać Polskę w wojnę z chrześcijańskimi mocarstwami, dla dogodzenia Francyi. Niesłuszne to były bardzo zarzuty, bo król Jan, który od lat tylu obrał sobie za cel życia walczyć z pogaństwem i spełnić posłannictwo mściciela swojego rodu, nie mógł i teraz o tém zapomnieć. W rzeczy samej traktat żórawiński, jakkolwiek nie był tak haniebny, jak buczacki, nie zadowalał jednak całkowicie, ani króla, ani narodu; część kraju była oderwana od Rzeczypospolitej, a co najważniejsza, Kamieniec pozostał w ręku niewiernych, półksiężyc wznosił się dumnie na wieżach chrześcijańskich kościołów.

Układy w Konstantynopolu, mające potwierdzić pokój w Żórawnie zawarty, wcale niepomyslnie się rozpoczynały. Sułtan przyjął posła polskiego w sposób ubliżający, coraz nowe trudności wymyślał i stawiał warunki cięższe daleko od tych, które były zastrzeżone pomiędzy królem i Szajtanem Paszą. Doszło do tego, że jeden z posłów polskich, wojewoda Chełmiński, zatrzymany był przez sułtana jako zakładnik, z żądaniem w najzuchwalszych wyrazach wydania Podola. Musiały więc wszystkie inne względy pójść na stronę przed tą sprawą najważniejszą.

Drobne na pozór okoliczności wpłynęły z drugiej strony na zachwianie przyjaznych stosunków pomiędzy Janem Sobieskim i królem Ludwikiem francuzkim. Głównie się przyczyniła do tego królowa Marya Kazimiera. Próżna ta i samolubna kobieta nie była godną małżonką tak wielkiego męża, a na nieszczęście ogromny wpływ wywierała na niego. Zostawszy królową, pierwszą jej myślą było zajaśnieć w kraju ojczystym w całym blasku tego dostojenstwa, wybierała się więc, pod pozorem zdrowia, do Francyi i zamierzała ukazać się na dworze w Paryżu. Wprzód jednak starała się dowiedzieć przez męża swej siostry, hrabiego de Béthune, czy będzie przyjęta z wszelkiemi honorami. I otóż duma jej dotkliwie została zranioną, bo król Ludwik nie chciał królowej elekcynnej, a do tego dawniej swj. poddanki, za równą sobie uważać. Nie pojechała więc Marya Kazimiera do

Francyi i odtąd czuła urazę do króla francuzkiego. Nie dość na tém: ponieważ Ludwik XIV ofiarował był kiedyś tytuł para i marszałka Francyi Janowi Sobieskiemu, podówczas hetmanowi, ułożyła więc sobie teraz Marya Kazimiera, aby te dostojęstwa otrzymał jej ojciec, markiz d'Arquien, który się nie odznaczał, ani zasługami, ani nawet majątkiem stosownym. Król francuzki odmówił, i otóż nowy powód do gniewu. Dumna ta kobieta nie kochała ani prawdziwój, ani przybranój ojczyzny i dla zadowolenia swój osobistój zawiści, wszelkimi siłami starała się teraz poróżnić męża z monarchą francuzkim, który jej uchybił.

Pośród tych intryg i wielu przykrości domowych, zatruwających mu życie, cóż czynił król bohater? Oto powziął myśl śmiałą uderzenia na Turków po swojemu i odebrania im Kamieńca. Zamiar ten byłby niezawodnie wykonał, gdyby mógł zebrać szybko wojsko i wpaść na Turków znienacka. Zamyślał także o utworzeniu ogólnoeuropejskiego przymierza mocarstw chrześcijańskich, w rodzaju krucyaty, przeciw tym barbarzyńskim najeźdźcom; szło mu już nie o zabezpieczenie granic własnego kraju, lecz o wyparcie barbarzyńców aż na stępy Azji i odzyskanie dla chrześcijaństwa pięknego półwyspu bałkańskiego, o zatknięcie krzyża na murach świątyni Ś-tėj Zofii.

Na nieszczęście genialne plany bohatera nie znalazły poparcia, ani u własnych rodaków, ani u państw europejskich. Na sejmie, jak zwykle, rozprawiano, sprzeczano się do upadłego, wywlekano różne podejrzenia i skargi na króla, a w końcu, straciwszy tylko na próżno dużo drogiego czasu, nie umiano nigdy wejść w widoki króla i dopomódz mu skutecznie do przedsięwzięcia energicznych środków. Mocarstwa europejskie, rozerwane także waśniami i osobistemi sprawami zaprzęgnięte, rade były bardzo, gdy Jan III bił Turków, ale same mu w tém ani myślały dopomagać, póki im jeszcze bezpośrednio nic nie zagrażało. Były nawet poszlaki, że Leopold austriacki przez posłów swoich intrygował w Konstantynopolu, starając się nie dopuścić trwałego pokoju pomiędzy Turcyą i Polską. Na rękę mu było, aby król Jan ścierał się z sułtanem i odciągał go tym sposobem od pomagania Węgrom. Papież jeden błogosławił dzielnego obrońcę chrześcijaństwa i gotów był mu dawać pomoc pieniężną w walkach z bisurmaństwem, z resztą, nikt na odezwę króla polskiego nie odpowiedział nawet dobrém słowem, duch rycerskich krzyżowców nie ożywał już wówczas Europy.

Gotów był jednak Sobieski i sam, bez obcej pomocy, rzucić się na hydrę muzułmańską, jak to

czynił tyle razy; znowu więc sejm się zebrał w r. 1681, przez pięć miesięcy trwały burzliwe obrady i w skutek intryg, głównie francuzkich, zerwano wszystko jednem zuchwałem i niegodziwem *vetto*. Załamał ręce król i powtórzył słowa rzymskiego Augusta: „Warusie, oddaj mi moje legie!” Przypomniał wszystko, co uczynił dla ojczyzny, co mógł uczynić jeszcze, gdyby niesforność i zawiść rodaków nie krępowała rąk jego, przepowiadał smutne skutki takiej lekkomyślności.

Szczęściem, że Turcy nie mieli odwagi porwać się znowu na „Iwa Lechistanu. Dowódcy obawiali się buntu w wojsku, gdyby mu kazano iść przeciw tym dzielnym chorągwiom Sobieskiego, które już tyle razy dały się mu we znaki. To też sułtan wyprawił do Warszawy posła z czołobitnością i warunkami, które można było przyjąć bez hańby. Znowu dwa lata upłynęło w pokoju, ucichły też po trochę i niezgody wewnętrzne w kraju, król mógł odetchnąć, zabawiać się urządzeniem świeżo zbudowanego pałacyku w Wilanowie, sadzeniem drzew, poświęcać chwile wolne od ciężkich obowiązków monarszych ulubionym zawsze naukom i sztukom.

I w Europie całej zapanował pokój, lecz była to cisza, jaka zazwyczaj poprzedza groźną burzę. Wrzało też w rzeczy samėj na południu. Muzułmanie, potknąwszy się tyle razy w Polsce, odwrócili się od tego niezdobytego przedmurza chrześcijaństwa i postanowili rzucić się w inną stronę. Zbuntowane Węgry otwierały im dobrowolnie drogę przez swoje ziemie, przywódzca ich, Emeryk Tekeli, gotów był zostać lennikiem tureckim, byle zrzucić nienawistne jarzmo austriackie. Z drugiej znów strony król Francuzki, czując się bezpiecznym na zachodnim krańcu Europy, sprzyjał zawsze Węgrom, a Turkom nie myślał przeszkadzać, i owszem, nie miał nic przeciw temu, aby przetrzepali trochę Austriaków. Książę Brandeburski upokorzył się przed nim, więc z téj strony duma jego była zadowolniona, nie mogąc zaś zgnieść cesarza Leopolda, do szczętu, zacierał ręce, gdy nawała turecka mu zagrażała.

Łatwo zrozumieć, że król Ludwik XIV nie życzył sobie wcale, aby tak niezwykły bohater, jak Sobieski, stanął w obronie nienawistnego mu Leopolda. Używał też wszelkich sposobów, do intryg się nawet poniżał, żeby tego nie dopuścić. Gdy doszły do niego wieści, że cesarz stara się zjednać sobie pomoc króla polskiego, a papież wpływem swoim go popiera, starał się zrazu odciągnąć Sobieskiego na swoją stronę wspaniałemi obietnicami; znowu więc ofiarował mu koronę węgierską i Szlązk, a nadto przyrzekł pomagać do uzyskania sukcesyi tronu polskiego

dla królewicza Jakóba, byle tylko pozostał neutralnym w czasie wojny pomiędzy Turcją i Austrią.

Jan III znalazł się wówczas w wielkim kłopotcie: z jednej strony widział w przymierzu z Francją niepospolite korzyści dla kraju, dla siebie i potomstwa swojego, mógł podnieść potęgę Polski i dynastją swoją osadzić na tronie; z drugiej znów nęciła go nieprzepartym urokiem walka z odwiecznym wrogiem chrześcijaństwa i sławnych przodków, zapal rycerski popychał go do zdobywania nowych wawrzynów. W końcu przychylił się na stronę walki.

Król bohater ostro był za to sądzony, i przez współczesnych, i przez potomność; zarzucano mu, że wielkim będąc wojownikiem, nie miał geniuszu politycznego. Ale najnowsi historycy oczyścili pamięć Jana III go z tych zarzutów, wykazali bowiem, że w danych okolicznościach i warunkach nie mógł on postąpić inaczej. Co znaczyły wszystkie obietnice obcych narodów, o tém się Polacy przekonali już przedtém niejednokrotnie; ile razy im niebezpieczeństwo zagrażało, nikt ani pomyślał dopomódz, wszyscy tylko klaskali i winszowali, gdy własnymi siłami wydobywali się z toni. Sobieski, zanim się ostatecznie związał z Austrią, zapytał króla Ludwika francuzkiego, czy zobowiąże się uroczystie przyjść w pomoc Rzeczypospolitej polskiej ze wszystkimi swymi siłami, jeśliby po upadku Wiednia Turcy zamierzili pójść na Kraków? Król Ludwik nie chciał brać na siebie takiego zobowiązania.

Cóż więc miał czynić Jan III? Wprawdzie sułtan przesłał mu w liście bardzo uprzejme zapewnienie, że przygotowania wojenne, czynione w Turcyi, nie mają na celu Polski i że przeciwnie prosi o przyjaźń króla i narodu polskiego. Lecz i tym obietnicom nie bardzo można było dowierzać; stanowczo więc Sobieski skłaniać się począł do prośb cesarza austriackiego, którego gorąco popierał papież Innocenty XI. Leopold, tak dumny zawsze i pyszny w stosunkach swych z dworem polskim, teraz w biedzie bardzo się upokorzył, w liście własnoręcznym raczył nadać Janowi III tytuł „Majestatis“ którego zawsze cesarze austriaccy i inni monarchowie zaprzeczali królom polskim elekcyjnym, przyrzekł mu dla syna Jakóba rękę swojej córki i zapewniał nadać Polsce zwierzchnictwo nad Wołoszczyzną i Multanami.

Szło więc już tylko o potwierdzenie tych układów przez sejm, który też zwołany był w Styczniu r. 1683. Lecz tu nowa wybuchła burza. Niegdyś oskarżano Jana III, że dla przyjaźni króla francuzkiego poświęca dobro kraju, a teraz z taką samą zaciekłością wyrzucano mu poróżnienie z tym monarchą. Ludwik XIV, uniesiony gniewem

na Sobieskiego za to, że śmiał stawiać na przeszkodzie jego polityce, rozpoczął tajemne knowania w Polsce w celu zrzucenia go z tronu. Zjednał sobie liczną partyą, na czele jęj stał Morsztyn, mnóstwo dostojników polskich, nawet gorliwych przedtém przyjaciół Sobieskiego, należało do spisku lub sprzyjało mu skrycie. Do rąk królewskich dostała się korespondencya posła francuzkiego, markiza de Vitry; były w niej dowody sprzysiężenia i nazwiska wielu znakomitych urzędników, najbliższych tronu.

Król udał się na posiedzenie sejmu z temi dokumentami, lecz wspaniałomyślnie oświadczył, że nie wierzy w tak niecną zdradę, uważa wszystko za przechwałki posła francuzkiego i wzywa oskarżonych, aby się od tęg potwarzy bronili. Ta szlachetność pokonała nawet najzawziętszych, odpowiedziano królowi jednogłośnym okrzykiem zapalu, przysięgano mu wierność. Jeden Morsztyn, zbyt jawnie występujący w całej tęg intrydze, oddany był pod sąd; trzymany pod strażą, zdołał umknąć do Francyi. Poseł francuzki musiał się oddalić z Polski.

Jeszcze w ostatnim dniu sejmu, 18 Kwietnia, usiłowano go zerwać, nie doszło jednak do tego i wszystkie wnioski króla zostały przyjęte, a traktat zaczepno-odporny z cesarzem austriackim zatwierdzony ostatecznie. Król bohater był w swoim żywiole, gotował wojsko do boju, cieszył się myślą, że znów spotka się oko w oko z odwiecznym wrogiem swego rodu.

(D. c. n.).

SZKOŁA DOŚWIADCZENIA.

Opowiadanie,

dla swoich siostrzeniczek

napisała

S. Wanda Janczewska.

(dalszy ciąg).

Ponieważ pani Fiałkowska była wdową, gospodarstwem mężkiem zajmował się brat jęj męża a razem współwłaściciel majątku, człowiek zimny, surowy i obojętny na wszystko, co go osobiście nie dotyczyło.

W ciągu tęg rozmowy pani Janowa narzekała kilkakrotnie na nawał zajęć, na zbyt wielką odpowiedzialność, jaka na nięj ciąży, na trudność dogodzenia razem pani i panu, na zbytne ich wymagania, dając do zrozumienia, że życie jęj tu nie jest wcale łatwe i przyjemne i usprawiedliwiając się niejako ze swęj niecierpliwości i porywczosci, jaką Cesia miała już sposobność w nięj zauważyć.

Powiedziawszy jęj wreszcie dobranoc, poleciała ją zaprowadzić do gościnnego pokoju, gdzie było przygotowane posłanie.

Cesia była tak zmęczona podróżą, że zaledwie zdążyła się trochę pomodlić, padła na łóżko i głęboko zasnęła, nie zdając sobie sprawy z tego wszystkiego, co tu widziała i słyszała.

Przebudziwszy się nazajutrz, ubrała się pośpiesznie, obawiając się spóźnić na śniadanie, bo nie wiedziała, o której godzinie je tu jadano. Pragnąc dostać się do pokoju pani Janowej, a nie znając rozkładu mieszkania, zabłądziła i przechodząc z salonu do salonu nie mogła się dosyć nadszwić pięknemu ich urządzeniu, wytwornym meblom, dywanom i zwierciadłom.

— W każdym razie jest tu przesłiznie i rada jestem, że się w tak pięknem i bogatym znajduję otoczeniu — pomyślała w duchu. — Mam nadzieję, że potrafię się podobać pani Fiałkowskiej i nie wątpię, że będzie mi tu dobrze i wesoło.

Gdy w końcu znalazła się w korytarzu, prowadzącym do pokoju gospodyni, była już najlepszej myśli i przygotowywała się powiedzieć jęj uprzejmie dzień dobry.

Nie zastała jednak w mieszkaniu pani Janowej, a gdy w chwilę potem weszła, miała minę tak gniewną, zniecierpliwioną, tak się czegoś śpieszyła, że Cesia powitała ją bardzo nieśmiało.

— Ach, to panna! — zawołała tamta — dzień dobry, dzień dobry... Ale prawda, panna bez śniadania, zapomniałam zupełnie... Ze też to wszystko na mojej głowie! Joasiu, Joasiu! weźno kawę do przygrzania.

Kawa ta, podana Cesi w dobre pół godziny potem, wcale jęj nie smakowała, również jak i obiad, chociaż nie dla tego, żeby miały być niesmaczne... Widziała, że obecność jęj przyczynia kłopotu gospodyni, i że tu widocznie zawadza, i to odjęło jęj zupełnie apetyt.

Nad wieczór, gdy Cesia, samotnie chodząc po ogrodzie, zachwycała się jego przesłiznym urządzeniem, usłyszała nagle turkot na dziedzińcu, potem ruch we dworze i domyśliła się, że to pani Fiałkowska przyjechała. Pobiegiła więc co prędzej do domu, spodziewając się, że może co chwila być wezwaną. Poprawiła sobie trochę włosy przed lustrem pani Janowej i usiadła w jęj pokoju, oczekując czyjegoś przybycia.

Dosyć jednak czasu minęło, a nikt się tu nie zjawiał; wieczór już zapadł, a Cesia siedziała w ciemności, nie wiedząc, gdzie świeca, którąby mogła zapalić. Słyszała w korytarzu ruch przyśpieszony, służący przechodzili tam i napowrót, doleciał jęj uszu brzęk talerzy w kredensie, co zdawało się zwiastować wieczerzę, jęj jednak nie

wzywano. Smutek ją wtedy ogarnął i mimowolnie lzy potoczyły się po twarzy; otarła je prędko chusteczką, nie chcąc wierzyć, że naprawdę jest tak zapomnianą i opuszczoną.

Było już późno, gdy usłyszała na korytarzu głos gospodyni, która łajała lokaja, że stłukł porcelanowy półmisek, a Cesi odjęło to zupełnie śmiałość zapytania o cokolwiek panią Janową, gdy ta weszła do swego pokoju.

— A to prawdziwe utrapienie — narzekała gospodyni we drzwiach jeszcze — za wszystkich odpowiadaj, a ci nicponie... Panna tu siedzi sama — dodała, spostrzegłszy Cesię — ale ja temu nie winna, i co prawda za wiele mam na swojej głowie. Mówiłam pani o przyjeździe panny...

— I cóż pani?

— Powiedziała, że jutro pannę zobaczy, bo dziś przy gościach nie ma czasu..

— Ale... czy pani Fiałkowska może była niezadowolona z mego przyjazdu? — zapytała Cesia nieśmiało.

— Czy ja tam wiem! Czy zresztą nasza pani jest z czego zadowolona? — powiedziała rozdrażniona — ja się staram, jak mogę, a nigdy przecież jęj nie dogodzę. Ach, doprawdy, nie wiem, gdzie pannę umieścić na noc, pokoje gościnne zajęte... Joasiu, chodźże tu prędzej! Słyszysz, pościelisz dla panny, ale gdzieżby tu? no, w jadalnym pokoju, albo wreszcie w niebieskim saloniku, albo gdziekolwiek... doprawdy, z tego wszystkiego głowę trzeba stracić!

Przy tych słowach wyszła, a niedługo potem przyniosła Cesi na talerzu trochę zimnego mięsa, które pozostało od kolacy i szklankę wystygłej herbaty.

Cesia podziękowała pokornie prawie i pomyślała sobie, że początek jęj tu pobytu nie przedstawia się zbyt obiecująco, pocieszała się jednak myślą, że się to niebawem zmieni.

Cesi posłano w przesłiznym saloniku, na aksamitnej kozetce miękkiej i elastycznej, ale niestety, zbyt małej i wąskiej, żeby piętnastoletnia panienka swobodnie na nią pomieścić się mogła. Ona jednak nie zwracała na to uwagi i z przyjemnością rozglądała się w wytwornem otoczeniu.

— Tu nie będę przynajmniej słyszeć ciągłych nawoływań do pracy i oszczędności — pomyślała sobie — i patrzeć na te kłopoty codzienne, nie zobaczy mnie tu pewno nikt kwaśną, i ręczę, że łatwo zaskarbię sobie względy wszystkich...

Nazajutrz około jedenastej godziny przed południem wezwano ją do pani Fiałkowskiej. Z pewną bojaźnią weszła do pięknego pokoju, gdzie przed toaletą siedziała w rannem ubraniu dość młoda jeszcze osoba, czytając książkę, podczas

gdy stojąca za nią panna służąca czesała ję włosy.

— Ach, jaka to duża panienka! — powiedziała przyjemnym, ale cichym, jakby osłabionym głosem, gdy Cesia całowała ję rękę. — Wszak was jest więcęj w domu?

— Jest nas trzy, proszę cio... proszę pani — poprawiła się Cesia, która nie śmiała ję nazwać ciotką, jak to miała zamiar przedtęm uczynić. — Ja jestem najstarszą.

— Najstarszą? I cóżes ty w domu robiła, kuchanko?

— Chodziłam na pensyą, byłam już w czwartęj klasie.

— A to szkoda, żeś już nie kończyła nauk, a mama twoja nie przysłała do mnie której z młodszych córek... Ach, Anno, jakże ty nielitościwie ciągniesz za włosy! ostrożnie, chesz wolnięj — dodała z wyrazem niezadowolenia.

— Szkoda, że raczēj nie przyjechała tu twoja młodsza siostra, Julcia miałaby towarzyszkę zabaw i nauki, i nawet liczyłam na to...

Potęm zadała ję parę pytań o matkę, lecz Cesia zaraz poznała, że czyniła to więcęj przez grzeczność, niż przez prawdziwą życzliwość.

Tymczasem nadeszła panna Amelia, bona, z dziećmi.

— Julciu, Fredziu, to wasza kuzynka Cesia, przywitajcie się z nią i bądźcie dla nięj grzeczni — powiedziała pani Fiałkowska.

Dziesięcioletni chłopczyk ukłonił się Cesi z daleka, z minką niebardzo uprzejmą, a młodsza od niego dziewczynka podeszła i pocałowała ją dość grzecznie. Podczas gdy pani Fiałkowska rozmawiała z panną Amelią, a mała Julcia przyglądała się ciekawie Cesi, która nie wiedziała, co z sobą zrobić, Fredzio zaczął się bawić flakonami na toalecie matki, co sprawiło niejaki hałas w pokoju.

— Ach! jak ty hałasujesz — szepnęła matka z odzieniem niecierpliwości i przyłożyła rękę do uszu, jakby je zatknąć chciała. — Moje dzieci, idźcie już do siebie, bo ja tu z wami wytrzymać nie mogę. Julciu, zaprowadź Cesię do dziecinnego pokoju.

Panna Amelia z dziećmi zajmowała dwa pokoje, w jednym sypiała z Julcią, w drugim Fredzio, tam się znajdowały jego zabawki i pokój ten uważał on za wyłącznie do siebie należący. Z żywém więc niezadowoleniem dowiedział się, że od dnia tego ma go dzielić z Cesią, dla której przyniesiono proste drewniane łóżko i mały parawanik. Dnia tego dzieci tu jadły obiad wraz ze swą nową kuzynką, i ta dowiedziała się z zadziwieniem, że zawsze tak bywa, ilekroć są goście, i że w czasie ich bytności niewolno dzieciom wchodzić do salonu, jeżeli nie są umyślnie wezwane. Ponieważ

zaliczono ją do dzieci, pomyślała z przykrością, że i ona prawdopodobnie tēj regule poddać się będzie musiała.

Parę pierwszych dni zeszło ję dość prędko, chociaż niczēm nie była zajęta, lecz poznanie domu, ogrodu, wreszcie osób miejscowych, nie pozwalało ję się nudzić. Dwa razy dziennie, to jest przy obiedzie i herbacie wieczornęj, spotykała się z państwem, to jest panią Fiałkowską i bratem ję męża, którego bała się prawie, widząc go zawsze milczącym, albo zaczytanym w gazecie, resztę dnia przepędzała z dziećmi, lub sama, gdy Fredzio i Julcia poszli na lekcję do pokoju panny Amelii.

Z początku zupełna bezczynność, jakięj teraz używała, dogadzając ję lenistwu, nie przykrzyła ję się wcale; przeglądała obrazki, zabawki dziecinne, szyla suknie dla lalek Julci i czas ję schodził dość przyjemnie, była w najlepszym humorze i wesoła, jak nigdy w domu; ale z czasem, gdy przekonała się, że to nie jest chwilową przerwą w zajęciach, ale stanem, mającym trwać prawdopodobnie ciągle, że nikt ani pomyśli o nauce dla nięj, albo jakiegokolwiek robocie, czuła się prawie przestraszona.

— To nie może być, żebym się już wcale uczyć nie miała — pomyślała sobie i przy pierwszēj sposobności zapytała pannę Amelią, kiedy zacznie z nią lekcye.

— Lekcye? — odpowiedziała Francuzka — ja o żadnych lekcjach dla panienki nie wiem, i co prawda mam aż zanadto zajęcia z Fredziem i Julcią. Zresztą panienka była już podobno na pensyi i potrzebuje wyższych nauk, ja zaś tylko początków udzielać mogę...

Zobaczywszy lzy w oczach Cesi na te słowa, panna Amelia dodała:

— Jednak, jeżeli panienka chce, może niekiedy, gdy czas będę miała, poczytać przy mnie po francuzku, lub trochę pisać. Mam kilka książek naukowych, mogę je chętnie pożyczyć.

Cesia podziękowawszy odeszła do swego kąciaka i rozplakała się na dobre, myśląc, że z naukami pożegnać się ję trzeba będzie. Jakkolwiek była leniwa i niedbała na pensyi, jednak naukę lubiła, a teraz, gdy przekonała się, że dla nięj stała się niedostępną, tēm lepiej ocenić ją umiała, i tēm więcęj cierpiała, że z własnej winy korzyści z nięj się wyrzekła. Zajęta tą smutną myślą, otworzyła kuferek i zaczęła z niego wykladać na ziemię swoje książki, postanawiając sobie uczyć się z nich sama. Zastał ją przy tēm zajęciu Fredzio, a że był w złym jakimś humorze, podrzucił nogą jedną z książek tak wysoko, że ta koziołka w powietrzu

wywinęła i upadła na ziemię otwartą, okładką do góry.

— Fredziu, co ty robisz? — zapytała zdziwiona Cesia.

— Widzisz, co robię — odparł nagle rozweselony.

— Ależ to niegrzecznie, bardzo niegrzecznie.

— Mnie wolno robić w *moim* pokoju, co mi się podoba i ty powinnaś być bardzo zadowolona, że ci w nim mieszkać pozwalam.

— Nie wiedziałam, że ci to tak nieprzyjemnie — powiedziała Cesia z uczuciem przykrości. — Poproszę, żebym gdzieindziej sypiać mogła.

— O, to bardzo dobrze zrobisz, bo i tak tu niedługo będziesz mieszkała. Za tydzień przyjedzie ciocia z Tadzkiem, i on tu będzie sypiał, bo tak jest zawsze.

Mała ta przykreść żywe na Cesi wywarła wrażenie. Dopiero teraz spostrzegła się, jak tu jest dla wszystkich obcą, obojętną. Nikt jej wprawdzie nie robił dotąd przykrości, nie zbywało jej na niczem, ale też nikt się nią nie zajmował, nikt ani zatroszczył. Pan domu zdawał się jej nie widzieć wcale, odpowiadając za ledwie milczącym skinieniem głowy na jej ukłon, pani Fiałkowska od owęj pierwszej rozmowy, prócz kilku nic nieznaczących słówek, jako to: czy jej się tu podoba, czy ładny ogród, czy poznała się już dobrze z Julcią i Fredziem, nie mówiła z nią nic więcej, panna Amelia była zajęta dziećmi i wcale prawie na nią nie zwracała uwagi, jednem słowem czuła się tu zupełnie obcą.

Przytém, jakże inaczej przedstawiała sobie pobyt tutaj! Sądziła, że uczyć się będzie, jak na pensyi, że ktoś się nią zajmie troskliwie, jak to czyniła matka, a przedewszystkiem, że będzie bywała po wizytach, lub bawiła się w salonie, gdy goście przyjadą. Tymczasem wszystko to ją zawiodło. W krótkim czasie spowszedniało jej zupełnie eleganckie urządzenie domu, ogród z czasem wydał się mniej ładnym, tak nieodpowiedne dla niej towarzystwo małych dzieci i zabawa z niem: sprzykrzyły jej się bardzo, a natomiast powoli tęsknota za matką i siostrami coraz więcej uczuć jej się dawała. Już nieraz chwilami żałowała, że dom porzuciła; skromne pokoiki matki wydawały jej się miłsze i weselsze, niż te piękne apartamenty, przypominała sobie, że proste, przyrządzane ręką matki potrawy, lepiej jej smakowały od wykwinnych obiadów, przy których siedziała na ostatniem miejscu, i przy których nikt nie zwracał uwagi, czy wzięła co z półmiska, czy nie...

Gdy przyjechała owa zapowiedziana przez Fredzia ciocia ze swym synkiem, Cesia rzeczywiście ustąpić miejsca musiała, i chociaż nie była zazdro-

sną, z żywą przykrością widziała troskliwość, z jaką zajmowano się pomieszczeniem go na jej miejscu. Wyrzucono na strych jej proste, drewniane łóżko, a wstawiono ładną, miękką i wygodną sofę, którą zasłano świeżą i wykwinną pościelą i bielizną. Pani Fiałkowska sama nawet przyszła zobaczyć, czy jest tu wszystko w porządku, i czy Tadzkiowi będzie tu dość wygodnie. Cesia przez czas jego pobytu sypiać musiała w stołowym pokoju na posadzce i wstawać bardzo wcześnie, bo od samego rana służba się tu ciągle kręciła tak, że z trudnością znaleźć mogła chwilę czasu, w którejby ubrać się mogła, nie będąc narażoną na niespodziane zjawienie się we drzwiach jakiego lokaja. W ciągu zaś dnia błąkała się z pokoju do pokoju, nie mogąc znaleźć dla siebie spokojnego kącika, gdzie mogłaby zająć się jaką robotą, lub czytaniem, które teraz bardzo polubiła.

Raz gdy siedziała w ogrodzie z książką w ręku, nadbiegł niespodzianie Fredzio ze swym towarzyszem i rzucając jej na ręce końce długiej ponsowej taśmy, którą obaj byli powiązani, zawołał:

— No, Cesi, wstawaj prędko i chodź z nami się bawić. My będziemy końmi, a ty furmanem. Będziesz nas niby chciała sprzedać na jarmarku, będziesz nas przejeżdżać i pokazywać, co to umiemy.

Cesia na to odpowiedziała:

— Baw się sam z Tadzkiem. Ja jestem za duża, żebym do takiej zabawy należeć mogła.

— A to dobre, odmawiać mi, kiedy proszę! Słyszysz, ja chcę, żebyś się z nami bawiła.

Widząc jednak, że Cesia nie śpieszy na wezwanie, wyrwał nagle książkę z jej rąk i daleko od rzucił.

— Co to znaczy, dla czego jesteś taki niegrzeczny, Fredziu? Kiedy tak, to nigdy w żadną grę nie będę się z tobą bawiła.

— Patrzenie mi ją, wielka pani! Nic nie robi i nawet bawić się ze mną nie chce. A więc po co ty u nas jesteś? Powiem mamie, żeby ciebie dłużej nie trzymała.

— Jdź sobie niegrzeczny, niedobry chłopcze — zawołała Cesia gniewnie.

— Ty będziesz mnie jeszcze łajała! Poczekaj, pójdę i poskarżę się.

To mówiąc, zwrócił się w stronę dworu, a niezadługo potem wrócił, prowadzony za rękę przez pannę Amelią, która rzekła surowo do Cesi:

— Niech panienka będzie trochę grzeczniejsza i nie odmawia pobawić się z chłopcami.

— Ależ proszę pani, kiedy Fredzio był względem mnie taki niedelikatny...

— To też panienka, jako starsza i rozsądniejsza, dobry z siebie przykład dawać powinna i sta-

rać się unikać sprzeczek. Julcia jest trochę słaba, muszę być przy niej w pokoju i dobrze byłoby, żeby panienka, bawiąc się z Tadzkiem i Fredkiem, popilnowała ich, żeby sobie co złego nie zrobili.

Przy tych słowach odeszła, nie czekając odpowiedzi Cesi.

— A widzisz — zawołał Fredzio z tryumfującą miną — musisz się z nami bawić. Na, masz bat i lejce.

Widząc ociąganie Cesi, która się czuła ogromnie upokorzona, że ją zmuszano uleść kapryswi takiego malca zarozumiałego i poddawać się tak niewłaściwej swemu wiekowi zabawie, włożył jej przemocą prawie ponsową taśmę w rękę i biegnąc prędko, zmuszał, żeby za nim podążała. Nigdy Cesia zapomnieć nie mogła tej przykrości i wstydu przed samą sobą, gdy wbrew swjej woli biegła za dwoma chłopcami z biczem w rękę, a łzami w oczach...

— O Boże, jakżem ja tu nieszczęśliwa! — zawołała, wybuchając głośnym płaczem, gdy po skończonej nieznośnej tej zabawie, znalazła się sama w ustronnym kątku ogrodu. Czyż w domu byłabym kiedy na coś podobnego skazana? Gdy pocziwe siostrzyczki moje prosiły mnie czasem, abym im co dla lalek uszyła, odpowiadałam nieraz niegrzecznie i niecierpliwie, a one się nigdy na mnie nie poskarżały, owszem ustępowały we wszystkim. Ach! dla czegoż się z niemi rozstałam, dla czego opuściłam mamę i nasze milutkie mieszkanie, gdzie czułam się zupełnie swobodną, nie tak, jak tu, skępowaną i zawsze ostatnią między wszystkimi... Mama miała słuszość, zupełną słuszość, czemuż jej nie wierzyłam! Co mi tam po pięknych salonach, do których nie mam wstępu, albo gościach, których wcale nie widuję.

(D. c. n.).

Z podróży majora Serpa Pinto.

Wspominaliśmy już o kilku podróżnikach, którzy w ostatnich czasach zwiedzali nieznane przedtem okolice Afryki środkowej. Do najznakomitszych zaliczyć także można majora Serpa Pinto, Portugalczyka, który przeszedł w poprzek cały ląd afrykański, od Atlantyckiego do indyjskiego oceanu.

W r. 1877 wyruszył on z Bengueli ku wnętrzu Afryki, zwiedził wspaniałe wodospady rzeki Zambezi i przez pustynię Kalahari i rzekę Limpopo przybył do Transvaalu i Natalu, zkąd w r. 1879 powrócił do Europy. Rysunek nasz przedstawia epizod z tej podróży, który tu podajemy w dosłownym opisie majora Serpa Pinto.

Było to szóstego Września. Stustopniowy termometr wskazywał przez cały dzień 33°, gorąco promieniejące z piaszczystego gruntu było nadzwyczaj dokuczliwe. Wieczór był pogodny i świeży; siedziałem przeddrzwiami mej chaty i zatopiłem się w myślach o ojczyźnie, o moich krewnych i przyjaciółach, jak również o przyszłym losie mej wyprawy, która w obecnej chwili była tak zagrożona, którą jednak, mimo piętrzących się przeciwności, miałem nadzieję doprowadzić do końca. Moi ludzie pokryli się już w chatkach i gawędzili jeszcze przy ogniach, ja sam jeden byłem teraz na dworze. Na raz uwagę moję zwróciła wielka liczba jasnych światła, które poruszały się dokoła obozu, a jakkolwiek w pierwszej chwili nie umiałem sobie objaśnić tego dziwnego zjawiska, czułem jednak, że mi grozi niebezpieczeństwo; zerwałem się więc szybko i spojrzałem przez ogrodzenie mej chaty. Gdy się rozejrzałem, zrozumiałem wszystko i mimowoli wydarł się z mej piersi okrzyk zgrozy.

Kilkuset krajowców otoczyło obóz i rzucało zapalone łuczywo na chaty, których pokrycie składało się z suchej trawy. W ciągu jednej minuty płomienie pochwycone przez silny wiatr wschodni rozszerzyły się we wszystkich kierunkach, a moi ludzie, wypadłszy przerażeni z palących się budynków, biegali jak szaleni dokoła. Część ich jednak zebrała się szybko przy mnie, a ja sam w obec grożącego strasznego niebezpieczeństwa odzyskałem panowanie nad sobą; z zimną krwią i rozważnie postanowiłem dać odpór i zwyciężyć. Głośno zwoływałem moich ludzi, którzy, widząc się otoczonymi dokoła przez ogień, potracili głowy, i udało mi się wkrótce zgromadzić ich na swobodne miejsce w środku obozu. Następnie w towarzystwie kilku ludzi rzuciłem się do mego już zapalonego domu, wyniosłem ztamtąd proch, jak również kufer z instrumentami, papierami i rysunkami, owocem długich prac. Tymczasem wszystkie mieszkania zostały objęte płomieniem, który jednakże na szczęście nie mógł nam nic szkodzić na otwartem miejscu. Teraz zawołałem jednego z moich ludzi, nazwiskiem Verissimo, który stał w pobliżu i rzekłem mu: „Mogę się tu dość długo bronić. Śpiesz jakakolwiek bądź drogą do Lialui, poszukaj króla Lobossi i powiedz mu, że jego ludzie mnie napadli.“

Verissimo skoczył pomiędzy palące się chaty i zniknął pośród zgliszczy. Tymczasem asegaje zaczęły padać gęsto dokoła i już wielu z moich ludzi było ranionych. Wprawdzie ludzie moi odpowiadali kulami, jednakże krajowcy podchodzili coraz bliżej, i nareszcie dosięgli swobodnego miejsca, gdzie byliśmy uszykowani. Ja stałem

w pośrodku, strzegąc ojczystego sztandaru; dokoła mnie moi ludzie, odzyskawszy odwagę, strzelali szybko, jak tylko mogli.

Gdy ogień przygasł, zauważyłem, że niebezpieczeństwo było bardzo wielkie, straszliwe, gdyż na jednego z moich przypadało stu nieprzyjaciół. Był to piekielny widok: silne postacie murzynów w mrocznym oświetleniu rzucały się tu i tam, wydając okropne wrzaski i zbliżając się coraz bardziej pod osłoną tarcz; przy tém mordercze asagaje przerzywały powietrze. Walka była straszliwa, ale odtłocówki swoim nieustannym ogniem trzymały jeszcze wyjąca bandę dzikich w szachu. Mi-

gdzie znajdowało się kilka kul napełnionych nitrogliceryną. Te straszliwe strzały, rozszarpujące trafionych, wywołały panikę między nieświadomymi czarnymi, którzy te kule uważali za czary.

NIEPOSŁUSZNY KRÓLEWICZ.

(Dokończenie).

Aż nagle rozchyłą się fale błękitu
I kosz z nich złocisty na złotym mknie sznurze,
A z kosza dwie nimfy*) w sukienkach z mgły świtu,
W tunikach barwionych w najczystszej lazurze,



Z podróży majora Serpa Pinto.

mo to jednak spostrzegłem, że walka w ten sposób nie może się długo przeciągać, bo amunicja szybko się wyczerpywała. Z początku miałem tylko cztery tysiące ładunków do karabinów Snidera a 20,000 do zwykłych; ale ostatnie nie mogły nas zbawić, gdyż z osłabnięciem ognia odtłocówek bylibyśmy zwyciężeni.

Lecz niespodziewanie dzicy, wydawszy piekielny okrzyk przestachu, rzucili się do szybkiej ucieczki. Dopiero na następny dzień usłyszałem od króla Lobossi, co zmieniło tak nagle położenie rzeczy: były to niespodziewane strzały jednego z moich ludzi, któremu dałem swoją ładownicę,

W przepaskach z promieni nad czołem i w stanie,
Wyfruną i kwiaty w kosz poczną rwać żywo.
Kosz pełny do nieba wciągniony zostanie,
I próżny znów spada po kwietne to żniwo.
Królewicz to widział, ukryty sam w kwiaty,
Odbiegła go niemoc, a zdjęło pragnienie,
By zająrzeć koniecznie do nieba, w zaświaty.
Więc skoro dwie nimfy, leciuchne jak cienie,
Dwie panny służebne bogini swój Flory,
Odbiegły za kwieciami, zbierając pokosy,

*) *Nimfy*, bóstwa podrzędne, wyobrażane jako prześliczne dziewczęta.

Królewicz pod kwiaty się wemknął w kosz spory
 I uczuł, że kosz się z nim wznosi w niebiosy...
 Aż stanął... Natenczas z pod kwiatów, nieśmiało,
 Królewicz w głąb niebios raz rzucił spojrzeniem...
 Ni oko widziało, ni ucho słyszało,
 Co ujrzał: więc z dziwu aż stał się kamieniem!
 Tymczasem dziewczątka w lazurze i w bieli,
 Bogini służebne, kwiat z kosza wybrały,
 A w głębi spostrzegą, że w kwietnej pościeli
 Królewicz kamienny śpi zimny i biały...

Więc z żalem okrutnym załamią rączy,
 I Florze donoszą, że zamarł śmiertelny,
 Spojrzawszy przypadkiem w niebiańskie dziedziny.
 Wnet Flora przybieży w ten kraj swój udzielny.

I czarę ku ustom śpiącego przychyli...
 On poczuł Ambrozyą *), choć śmierć już miał

[w łonie,

Skosztował, i powstał z kamienia w tej chwili,
 I stał się pół bogiem w pół bogów koronie.

I bawił tam w niebie dzień jeden, czy drugi,
 Czy więcéj, bo liczba jest w niebie nieznaną,
 A wszystkie tam nimfy dlań były jak sługi,
 A Flora, jak siostra. Aż... nagle raz z rana
 Zapłakał królewicz. Zadrżały niebiosy!
 Bo ła jest rzecz ziemską, więc zbiegły się bogi
 I chórem pytają, a zgrozą drżą głosy:

— Zkąd w niebie się wzięła ła smutku, czy
 [trwogi?

A na to królewicz ze łzami odpowie:

— Mnie tęskno do ojców, do sług i do kraju,
 Pozwólcie mi wrócić na ziemię, bogowie!

Dziś widzę dopióro, że w niebie, czy w raju,
 Nie wytrwać jest sercu od swoich daleko!
 Bogowie na Ojca Jowisza **) spojrzeli;
 Ten skinął, więc w lot się w lazurach rozwieli,
 Spokojni, że w niebie już ły nie pocieką.

Królewicz też rad się na ziemię wybiera,
 Gdy Flora do niego przystąpi, i rzecze:

— By dostać się w niebo, śmiertelny umiera,
 Tyś jednak nie umarł, toż pomyśl, człowiecze,
 Że całej natury podszedłeś porządek,
 Więc karać cię za to natura gotowa,
 Bo ciąży nad tobą gniew śmierci, i prądek ***)
 A potem, tam ziemia już inna i nowa,

Więc po co ty wracasz, śmiertelny, niestały?...
 Bo chyba ty nie wiesz, że chwila w niebiosach,
 To znaczy tam dole, na ziemi, wiek cały!

Królewicz nie słuchał: po mgłach i po rosach
 Ześliznął się zlekka z błękitów na ziemię...
 I wracał co prędzej do swoich radośnie;

*) Ambrozya napój bogów.

**) Jowisz ojciec wszystkich bogów, władca piorunów.

***) Prządki, Parki zwane, trzy siostry przedzące nioi żywota ludzkiego.

Gdy smutku na duszy zawisło mu brzemie,
 I poczuł podróży, że brzemie to rośnie,
 Bo wszystko na ziemi odmienne już było:
 Ni ludzi dawniejszych, ni góry, ni rzeki,
 Aż gdy mu się morze bezdenne załśniło
 Na miejscu, gdzie kraj kwitł ojczysty przed wieki,
 Królewicz zapłakał... i jęczał boleśnie;
 Bodajem był nigdy nie tęsknił za światem,
 — Bodajem nie rzucał był ojców ni we śnie,
 I żył tak, jak wszyscy, i przestał był na tém!...
 I tułał się odtąd królewicz po świecie,
 Samotny, nieszczęsny, wśród obcych nieznaną,
 Na okół fal, kędy żył w gmachach, jak dziecicę,
 Przed wieki, wśród szczęścia, i kochał kochany.
 Aż razu jednego napotkał wóz z drzewem,
 A z wozu staruszek poganiał konięta;
 Wtém straszny Boreasz uderzył nań z gniewem,
 I w trzaski wóz rozbił i zabił szkapięta.

Więc starzec-woźnica wykrzyknie w rozpacz:

— O królu Giganciel krainy tej panie.

Inaczéj mi było za ciebie! inaczéj!

A teraz mi kęsa już chleba nie stanie!

— O sługo ty ojca mego! o drogil

Zawoła królewicz, i starca w ramiona

Pochwyci, drżąc cały z radości i trwogi,

I łzami oblewa, i tuli do łona,

I woła: — O powiedz mi, starcze jedyny,

Czy ojciec mi drogi przebaczył przed skonem?

Czym nieszczęść nie ściągnał na moje krainy?

Sieroty! z sierocą koroną, i tronem!...

A wtém się przemieni staruszek ów siwy

W śmierć straszną! i kosą zamachnie się srodze,

I krzyknie:—A tuś mi! człowieku ty żywy,

Za którym przez wieki już gonię i brodzę!...

I upadł królewicz bez ducha pod kosą.

Tak życie marnują i kończą tak marnie

Ci, których niesforne zachcenia uniosą

Za drogi ojcowe, gdzie rozpacz ich garnie.

M—a.

PAMIĘTNIK MŁODEJ DZIEWCZYN,

z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

Odpowiedziałam, że bardzo ciekawa jestem tego zdarzenia, a pani Archer tak dalej mówiła:

— Syn mój Jerzy był kapitanem statku „Alcyra” (ach! biedny mój chłopak już nie żyje, trzeci to z kolei, którego utraciłam na morzu, okręt jego rozbił się wśród burzliwej nocy na rafach podwodnych). Otóż Jerzy wówczas od lat sześciu żeglował gdzieś w stronach oddalonych, bardzo długo nie miałam od niego żadnej wiadomości, gdy pewnego rana, siedziałam przy śniadaniu, chłopak,

który roznosi posyłki z przystani, staje przy otwartém oknie i podaje mi małą, zmiętą karteczkę. Poznałam odrazu pismo mojego ukochanego chłopca. „Droga mateczko, pisał, stoimy na kotwicy pod samym domem, ale nie mogę opuścić okrętu. Przybywaj więc tu do mnie, a nie zapomnij przynieść świeżego mięsa i warzywa jak najwięcej”. Jestem wdową marynarza, zrozumiałam więc odrazu, że oni biedacy stęsknili się za temi przysmakami, których nie widzieli na morzu. Nie wiele myśląc, pobiegłam do rzeźnika, zabrałam wszystko mięso, jakie miał w sklepie, potem wycięłam ile było kapusty w ogrodzie, wyprosiłam jeszcze kilkanaście główek u sąsiadów, włożyłam nową chustkę i najpiękniejszy czepek i pobiegłam co żywo do przystani, a chłopak dźwigał za mną kosze. Tyle miałam roboty z temi zapasami, że nie było czasu na radość, dopiero gdy obaczyłam „Alicyą” na kotwicy, serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, trzęsłam się cała, jak w gorączce.

Pocziwa kobiecina, mówiąc to, tak była wzruszona, że i mnie łzy w oczach stanęły, a Janek słuchał jęz z największym zajęciem.

— Gdy Jerzy żegnał się zemną przed sześciu laty — mówiła dalej pani Archer — był jeszcze młodzieńcem chłopakiem. Teraz, gdy przybyłam do okrętu, przystojny mężczyzna z ciemnym zarostem pomógł mi wejść na pokład, ja go zapytałam: A gdzie jest kapitan Archer? — Jakto, mateczko nie poznajesz mnie? zawołał i rozśmiał się wesoło, chwytając mnie w objęcia i ściskając serdecznie. Nie wstydził się wcale swojej mateczki. Oj, pocziwy to był chłopak, mój Jerzy.

I staruszka rozplakała się na dobre, a ja także łzy ocierałam, bo w tej chwili przyszło mi na myśl, że i mój Janek kiedyś, gdy dorośnie, odpłynie może na okręcie, jak ten kapitan Jerzy. Pani Archer uspokoiła się prędko i dalej mówiła:

— Wyobraź sobie, panno Emilio, że zostałam na okręcie aż do wieczora. Obiad był wyborny, potraw mnóstwo, a wszystko zamorskie jakieś przysmaki. Ale Jerzy utrzymywał, że najsmaaczniejsza ze wszystkiego była kapusta jego mateczki. „Alicya” miała zaraz w nocy odpłynąć do Londynu, musiałam więc wieczorem powrócić do domu. Nazajutrz przyszedł na wybrzeże, ale „Alicyi” już tam nie było.

— Ale pani widziała jeszcze potem swojego syna?

— O, nieraz jeszcze. Wkrótce potem powrócił i spędził ze mną cały tydzień, a we trzy lata później aż dwa tygodnie, właśnie przed ostatnią podróżą. Pocziwy mój Jerzy, zawsze wspominał

moję kapustę; a jakie on mnie śliczne rzeczy przywoził z dalekich krajów.

Jania widziała już nieraz te piękne rzeczy i poprosiła pani Archer, żeby je nam pokazała. Chętnie się na to zgodziła. Były tam różne ładne muszle, wyroby z drzewa sandałowego i cedrowego, kokosowe orzechy. Jania wydobyła z szuflady jaskrawy dywan.

— Ach, to Jakób i Tomek przywieźli mi z pierwszej swjej podróży do Indyj. Istne szaleństwo! czyż jabym mogła taki dywan wspaniały rozścielać tu na ceglanej podłodze. Biedne chłopaki! Nigdy mi już nic więcej nie przywieźli; płynąc drugi raz do Kalkuty, zginęli, trąba morska zatopiła ich statek.

Dziwiło mię to trochę, że pani Archer z takim spokojem mogła opowiadać o strasznych swoich nieszczęściach. Ale potem wytłómaczyłam sobie, że człowiek ze wszystkiem się oswaja, a marynarze za często giną na morzu, aby żony ich i matki nie miały do tego przywyknąć. Dowiedziałam się od Jani, że z pięciu synów pani Archer czterech zginęło w podróżach morskich, a przecież i najmłodszy, ostatni, został także żeglarzem. Był to ów kapitan, narzeczony Jani.

Biedna Jania! i ona bladła i drżała, słuchając opowiadania przyszłej swojej teściowej. Rodzice jęz z młodszym rodzeństwem mieli w tych dniach odpłynąć do Australii, narzeczony wybierał się w inną stronę w podróż daleką, ona zostawała sama ze staruszką. Biedna Jania! wybaczyłam jęz w tej chwili tę piękność, którą wszystkich za serca chwytala, nawet mego braciszka. Miala ona także swoje cierpienia i znosiła je z anielską cierpliwością. Postanowiłam sobie nigdy się na nią nie dąsać. Wieczorem, gdy nas odprowadziła do domu, i od drzwi naszych odchodziła, powiedziała nam dobranoc, zatrzymałam ją i rzuciłam się jęz na szyję z czułością niezwykłą. Musiała się troszkę zdziwić, ale nie domyśliła się, że ją tym sposobem chciałam przeprosić; ona była taka dobra, zkażdeby miała odgadnąć wszystkie złe myśli, które gorycz zrodziła w mojej duszy?

X.

Urodziny.

Czas upływał teraz daleko prędzej dla mnie, ani się spostrzegłam, jak przeszedł Maj i zbliżał się koniec Czerwca. Mój Janeczek był ptaszyną czerwcową, urodził się w tym najpiękniejszym letnim miesiącu, w wigilią Ś-go Jana. Ja przyszedłam na świat w Marcu, w tej smutnej porze roku, gdy dni są zwykle słotne i rzadko kiedy słońce wygląda z za chmur. Nieraz myślałam sobie, że pomiędzy

mną i moim braciszkiem była takąż sama różnica, jak między dniami naszych urodzin. Ja wyglądałam, jak Marzec, on, jak Czerwiec. I życie jego było podobne do rozkosznego miesiąca Czerwca. Nabrał teraz sił i zdrowia, nigdy się nie dąsał i nie kwaśił, a wszyscy go tak kochali! Począwszy od Salomei aż do samego dziedzica, każdy zachwycił się Janeczkiem. Droga jego życia była dotąd różami usłana. Ale na moje szczęście nikt jakoś nie miał dużo czasu na to, aby mi ukochanego mego chłopaczka rozpieszczać. Wuj nadto był zapracowany przy swoich kamieniołomach, Salomea przy gospodarstwie, Jania mieszkała dosyć daleko, a Eliazs dalej jeszcze. Tym sposobem nikt nie mógł Janka tak nieustannie pieścić, jak ja, i bardzo temu byłam rada.

W tym roku ostatnie dni czerwcowe niezwykle były piękne i ciepłe. Braciszek mój chodził dużo, odbywaliśmy dalekie przechadzki, często od rana do wieczora przesiadywaliśmy na świeżem powietrzu, na łąkach, gdzie pełno było różnobarwnych kwiatków. Nieraz siedząc na murawie lub na kamieniu opowiadałam Jankowi różne bajki i powiastki. Próbowałam także, a trudniejsze to było daleko zadanie, uczyć go czytać. Mieliśmy do tego elementarz, a w nim dużemi literami wypisane było zdanie: *Józio był to greczny chłopczyk*. Janek niecierpiał elementarza i niecierpiał tego grzecznego Józia, a przyznam się, że podzielałam tę niechęć.

— Siostrzyczko, ja nie chcę się uczyć czytać! mówił żałośnie — pocóż ty mnie zmuszasz? ty niedobra jesteś, Emilciu. Jakbym ja chciał już wyrość! Żebym był duży, toby mnie nikt nie męczył i nie zmuszał do niczego, robiłbym sobie wszystko, coby mi się podobało.

— I cóżbyś robił? — odzywałam się na pół z gniewem, a na wpół z żalem. Od godziny nudziliśmy się oboje nad tym Józiem, nieznosnym, pomimo całej swjej grzeczności, a tu tak ładnie było na łące, pszczołki tak wesoło brzęczały, przelatując ponad kwiatami mięty i tymianku. I mnie także dokuczał strasznie ten greczny Józio, tém bardziej, że miałam myśl zaprzątniętą czém inném; nazajutrz... były imieniny Janka i... ale zaczęłam opowiadać porządkiem. Malec pomyślał chwilkę nad mojem pytaniem, potem odpowiedział:

— Coby ja robił, gdybym był duży? Oho! wiem dobrze, coby ja robił. Kupiłbym sobie ogromną pozytywę, kręciłbym korbą od rana do wieczora, a onaby mi prześliczne rzeczy grała. Ale nigdybym nie czytał na téj obrzydłej książce.

— A gdyby — rzekłam głosem drżącym, z przychyny mnie jednej wiadomój — gdyby to nie była

ta książka, tylko piękna, z kolorowemi obrazkami, taka, jakąśmy wczoraj widzieli u dzieci dziedzica?

Wiedziałam, że mu się ta książka bardzo podobała.

— O, żeby to można było czytać z takiej prześlicznej książeczki! — zawołał, składając ręczki — czy ja bym potrafił?

— Czy ja wiem? — odrzekłam obojętnie i odwróciłam rozmowę na inny przedmiot, ale w duszy byłam uszczęśliwiona. Zakończyłam naukę czytania z Janeczkiem, pozwoliłam mu biegać, sama z nim biegałam i bawiłam go tak wesoło aż do wieczora, że w najlepszym humorze powróciliśmy do domu na wieczerzę. Malec zaraz potem spać się położył, a ja usiadłam w pokoiku jadalnym przy oknie, bo czekałam na Eliasza, zaraz opowiem, dla czego chciałam się z nim widzieć na osobności.

Już od kilku tygodni myślałam o téj wigilii Ś-go Jana i o wianowaniu dla mego braciszka. Pierwszy to raz w życiu miałam obchodzić czyjeś urodziny. Długo łamałam sobie głowę nad tém, coby ja mogła mu dać? Więc najpierw chciałam dostać gdzieś cukierków. Na pensyi najczęściej pensyonarki dawały sobie wzajemnie cukierki na urodziny. Ale nie łatwo tu było o cukierki, a potem pomyślałam, że takie przysmaczki zjedzą się prędko i przyjemność niedługo potrwa; a ja chciałam, żeby moje wianowanie sprawiło wielką radość Jankowi.

Gdy tak przemyślałam nad tą ważną sprawą, ujrzałam raz u dzieci dziedzica piękne wydanie bajek Grimma. Któż nie zna tych bajek, które nawet starsi czytują z przyjemnością. Znałam je oddawna, a zawsze się niemi zachwycalam. Janek widział także tę piękną książkę, oglądał obrazki z zachwyceniem i przysłuchiwał się, gdy żona dziedzica czytała głośno dzieciom bajki. Po skończeniu czytania, ta dobra pani powiedziała do mnie z uśmiechem:

— Wiesz co, Emilciu, ten twój mały leniuszek nauczyłby się prędko czytać z téj książeczki.

Teraz już wiedziałam, jakie wianowanie byłoby najlepsze dla Janka. Ale cóż, kiedy książka taka kosztowała sześć szylingów *), a ja miałam całego majątku sześć groszy **); tak, sześć groszy zostało mi z kwoty, którą mi wypłacano na pensyi na moje drobne wydatki i te przywiozłam z sobą. O jakże żałowałam teraz tych wszystkich pieniędzy, które marnowałam dawniej na wstążeczki, ciastka, cukierki! Wszystko to się zniszczyło lub

*) Szyling ang. ma około pół rubla.

**) Grosz ang. czyli penny, jest dwunastą częścią szylinga.

zjadło, nic mi z tego nie pozostało. A wtém przypomniałam sobie kufer z mojami kosztownościami, od którego zgubiłam była kluczyk. Poprosiłam Salomei, żeby odbiła zamek i wyciągnęłam z samego spodu ów sławny szal indyjski.

Dnia następnego wzięłam go pod pachę i z bijącym sercem, cała zarumieniona, poszłam do żony dziedzica i zapytałam, czy jéjby się taki szal nie przydał?

— Zkądże ci to przyszło do głowy, moje dziecko? — zapytała ze zdziwieniem — to jest szal bardzo piękny. Przecież nie możesz przypuszczać, abym taki podarunek od ciebie przyjęła.

— Ja też nie myślę o tém — rzekłam pomieszana i drżąca — chciałabym ten szal sprzedać, bo bardzo potrzebuję pieniędzy.

Tyle dobroci malowało się w jéj oczach, że opowiedziałam jéj wszystko ze szczerością.

— Cóż za dzieciak z ciebie — zawołała śmiejąc się — pocóż masz się pozbywać szala, ja ci daruję chętnie z pół tuzina książek z obrazkami.

Ale ja pokręciłam głową i wyjaśniłam dobrą pani, że tu szło o to, abym ja sama dała wiązanie od siebie Jankowi, a tak byłby to podarunek od niéj, nie odemnie, na moje ręce tylko dany, sama to w końcu przyznała. Nie chciała wprawdzie kupić szala, lecz obmyśliła inny sposób daleko lepszy. Gdyby wykwintne pensyonarki pani Dangerfield dowiedziały się o tém, co mi doradziła, z pewnością odwróciłyby się z pogardą od córki pułkownika Liningtona, ja jednak zgodziłam się z uniesieniem radości.

Żona dziedzica miała właśnie teraz dużo bieżących do szycia dla swojej dziatwy, dała mi więc do roboty sześć małych koszulek, i za każdą zapłaciła szylunga. Nie powiem, żeby to było miłe zajęcie dla mnie; na pensyi uczyłyśmy się robót ręcznych, ale wszystkie ich niecierpiałam, i ja za innemi. Niemniej jednak gorliwie zabrałam się do pracy, a choć pokłółam sobie palce, koszulki były uszyte w porę, dostałam zapłatę i uprosiłam Eliasza, który jechał do miasta, aby mi książkę kupił w księgarni. Oto teraz miał przyjść i oddać mi sprawunek.

Wybiła ósma godzina, potem pół do dziewiątej, na koniec dziewiąta. Zdjął mnie wielki niepokój; czas mi się wydawał niezmiernie długi, tém bardziej, że nie miałam nic do roboty. Już to trzeba przyznać, że to szycie koszulek, choć niezbyt zabawne, miało jednak swoją dobrą stronę, skracało mi długie wieczorne godziny po uśnięciu Janka, a teraz bezczynne moje ręce tak mi zawadzały! Wuj w domu nie było, Salomea robiła coś w kuchni, a ja sama jedna chodziłam z kąta w kąt, co

chwila podbiegając do okna, i na płacz mi się już zbierało.

Wkrótce potem łzy rzeczywiście stanęły mi w oczach, ale już z radosnego wzruszenia, gdy ciężkie kroki Eliasza ozwały się w sieni i gdy pochwyliłam z rąk jego małą paczkę, starannie owiniętą w papier żółty, jakiego zwykle używają księgarze do swoich cennych pakunków. Był to śliczny, nowiuteńki egzemplarz bajek Grimma w ozdobnej oprawie z kolorowemi obrazkami. Otworzyłam książeczkę, spojrzałam na pierwszy obrazek i zamknęłam prędiutko, chciałam, aby Janek ją dostał nietkniętą. Potem wzięłam pióro do ręki, świeżuteńką stalówkę i zaczęłam pisać na pierwszej kartce. (Napis ten do dziś się przechował z kossławą literą J, skreśloną drżącą ręką). *Dla Jana Williama Liningtona.* Tu zatrzymałam się, rozmyślając długo, co mam dodać do tego i nakoniec napisałam po prostu: *Od siostry.*

Po dokonaniu tego dzieła, (a pewna jestem, że królowa nie była szczęśliwszą i dumniejszą, gdy podpisywała akt koronacyjny) obwinęłam książeczkę w ten sam papier żółty, zawiązałam tym samym sznureczkiem, weszłam cichutko do pokoiku Janka i położyłam paczkę przy nim na łóżeczku. Chłopczyzna spał spokojnie i taki był śliczny, że oczu od niego oderwać nie mogłam. Ach! pomyślałam, jaki on hędzie szczęśliwy, gdy się przebudzi jutro rano. Nie może być jednak szczęśliwszy odemnie. Powróciłam do jadalnego pokoju, Eliasza tam nie było; ale zjawił się znowu niezadługo, otworzył drzwi wchodowe na oścież i wprowadził kilku ludzi, niosących coś bardzo ciężkiego, czego odrazu nie rozpoznałam wśród ciemności.

— To jest stary fortepian, panno Emilio — rzekł — rodzina panny Allarden wyruszyła już wczoraj w podróż do Australii, ona przeniosła się na mieszkanie do matki młodego kapitana. Ten fortepian jéj teraz niepotrzebny, więc go tu kazała postawić; chciała tém zrobić przyjemność małemu Jankowi, który tak lubi muzykę. Ta panna Jania taka dobra.

— To bardzo grzecznie z jéj strony — odrzekłam dość obojętnie; tak byłam zaprzątnięta swoją piękną książką, że na nic innego nie zwracałam uwagi. Zapytałam jednak Eliasza, czy zobaczy Janię nazajutrz i dodałam:

— Możeby zajrzała do nas, toby ją rozerwało.

Niechętnie to powiedziałam, wyznając, jedynie z poczucia obowiązku; nie lubiłam widzieć Jani przy moim bracie. Co do fortepianu, nie spojrzałam nawet na niego, tak mi dokuczyły przymusowe ćwiczenia muzyczne na pensyi, że patrzeć nie mogłam na klawiaturę. Pomyślałam tylko z uczu-

ciem zadowolenia, że tu przynajmniej nikt mnie nie będzie zapędzał do tego fortepianu. Poszłam spać i zapomniałam o nim zupełnie.

Nazajutrz zbudziłam się bardzo wcześnie, ubrałam się zaraz i usiadłam przy drzwiach pokoiku mojego miłego chłopczyka, czekając jego przebudzenia. Słyszałam oddech jego spokojny, potem głębsze westchnienie, szelest papieru, a po chwili Janeczek mój w nocnej koszulce i boso wbiegł z radosnym okrzykiem do mego pokoju, rzucając mi się na szyję.

— To dziś twoje urodziny, braciszku — rzekłam — duży już chłopczyk z ciebie, kończysz lat siedm. Życzę ci, abyś росł zdrowo i szczęśliwie, w lata i w rozum — a mówiąc to, usiłowałam się uśmiechnąć, aby ukryć łzy, cisnące się gwałtem do oczu.

— I darujesz mi tę prześliczną książeczkę, siostrzyczko? czy ona już moja, naprawdę? O, jakaś ty dobra, Emilciu! Teraz nauczę się czytać bardzo szybko.

— Pora już, pora, leniuszku — mówiłam, ściskając go serdecznie, a on także okrywał mnie pocałunkami. Czułam się taka szczęśliwa! teraz byłam pewna, że braciszek mnie kocha.

Zeszliśmy do jadalnego pokoju, Janek pokazywał wszystkim swoją książeczkę, Salomea uśmieiała się, patrząc na zabawne obrazki, wuj pokręcił głową i powiedział półgłosem, że można było za te pieniądze kupić ze trzy książki bez obrazków, bo do czego te obrazki? Udałam, że nie słyszę, a wuj po chwili, widząc radość Janka i sam się zaczął uśmiechać z zadowoleniem. Zaczynał to być człowiek, ten wuj Ruben.

Dotąd nikt jakoś nie zwrócił uwagi na nowy sprzęt, ustawiony w pokoju. Salomea zasunęła go w kąt najciemniejszy i przykryła sukienną serwetą. Janek prosił mnie, żeby mu przeczytała co ze ślicznej książeczki i już drugą bajeczkę czytałam, gdy nagle oczki jego zatrzymały się na fortepianie.

— Co to takiego, siostrzyczko?

— Stary fortepian Jani. Ona tu pewnie dziś przyjdzie, czytamy tymczasem.

Nie wiem dla czego zdawało mi się, że nie będzie żadnej przyjemności czytać przy Jani, a teraz we dwoje tak nam było dobrze. Ale Janek zerwał się i wołał składając rączki z zachwyceniem:

— Forte pian! mama miała fortepian i tak prześlicznie na nim grała. O, Emilciu, proszę cię, otwórz ten fortepian.

Rączki mu drżały ze wzruszenia i niecierpliwości. Położyłam książkę, otworzyłam fortepian i rzekłam:

— Masz, Janeczku, a jak się napatrzysz, będziemy dalej czytali.

Ale on zapomniał zupełnie o czytaniu. Stał przy fortepianie i przyciskał paluszkami klawisze, czasem się krzywił, gdy ton był fałszywy, bo to był stary, rozstrojony instrument, to znów uśmiechał się, gdy natrafił na czystsze dźwięki. Nakoniec, próbując tak jednym paluszkiem klawisze, udało mu się wybrać melodię, którą grała pożytywa wuja. Cóż to za radość była, gdy ją bez omyłki powtórzył raz i drugi! Niepoczuwając to było bardzo z mojej strony, ale zaczynało mnie to niecierpliwieć i powiedziałam nakoniec dość kwaśno:

— Chodź, Janku, będziemy dalej czytali. Już mi uszy bołą od tego hałasu.

— Ależ to takie śliczne granie, Emilciu; poczekaj, ja teraz spróbuję wybrać to, co mama grała. Jabym tak lubił, żeby mi kto zagrał!

— Jabym wolała czytać.

— Czy ty umiesz grać, siostrzyczko?

— Umie, ale niecierpię muzyki.

Mówiąc to z gniewem prawie, odeszłam i usiadłam na drugim końcu pokoju. Janek nie zważał na to wcale, nie spojrzał nawet na mnie, ale stał tak z godzinę przed fortepianem i różne melodie wygrywał jednym paluszkiem. Widziałam, że się zmęczył i drugą rączką szukał oparcia, żal mi się go zrobiło, wstałam i przysunęłam mu krzeselko. Uśmiechnął się i szepnął:

— Dziękuję ci, siostrzyczko.

Chłopczyzna był uszczęśliwiony, a za to moje biedne serce ścisnęło się boleścią dotkliwą. Miałam wielką ochotę pójść wrzucić w studnię książeczkę z obrazkami, a może i sama za nią wskoczyć... gdy drzwi się otworzyły i na progu ukazała się kształtna postać Jani.

— Byłam pewna, że mój stary fortepian się wam przyda. Czy to Emilcia grała?

— Nie, to ja — ozwał się głosik Janka — ona nie chciała. Ale ty, Janiu, zagrasz? O, zagraj, proszę.

Pociągnął ją do fortepianu i stał przy niej w niemém zachwyceniu, a ona wygrywała różne melodie jedno po drugim. Nakoniec przestała grać, a twarzyczka mego braciszka się przeciągnęła i rzekł z westchnieniem:

— O, jakbym ja chciał nauczyć się grać tak ślicznie! Wolałbym uczyć się grać, niż czytać.

Nie byłam w stanie słuchać dalej, prawdziwa rozpacz mię ogarnęła, wybiegłam na podwórze, na szczęście zapomniałam zabrać z sobą Grimma, bo z pewnością gnilby dotychczas na dnie studni. Długo błąkałam się po polach i nieprędko powróciłam do domu.

Gdy weszłam znów do jadalnego pokoju, byłam już spokojniejsza, pokonałam namiętne wzburze-

nie, ale nie przestałam cierpieć. Ciężką walkę stoczyłam z sobą. Trzy razy obiegłam dokoła łąkę z gorączkowym pośpiechem, zanim pokonałam myśl szaloną, że nienawidzę Janka i Jani, że wszystkich na świecie nienawidzę. I znów trzy razy odbyłam tę samą drogę, wolniej niż nieco, i przez ten czas odeszła mi ochota uciec gdzieś daleko, ażeby nie zakłócać szczęścia, jakiego doznawał mój braciszek przy Jani i jej fortepianie. Nakoniec jeszcze trzy razy okrążyłam łąkę krokiem miarowym i rozmyślałam o słuszności mojej sprawy. Namietność nie zaślepiła mnie do tego stopnia, abym nie czuła, jak to niepokracznie było z mojej strony brać za złe braciszce, że miał odmienne od moich upodobania; jak niegodnie postępowałam, gniewając się na Janię za to, że mu sprawiała przyjemność, której ja mu sprawić nie mogłam, a raczej nie chciałam; nakoniec, jak to nieszlachetnie wymagać od dziecka jakiejś nadzwyczajnej wdzięczności za drobny podarunek. Czyliż za przywiązanie się płaci? Zdaje się, że ta ostatnia uwaga stanowczo wpłynęła na mnie.

Opowiadam to wszystko dla tego, ażeby czytelnicy wiedzieli, że nie byłam wcale doskonałością, jak te dobre, grzeczne dziewczynki, o których piszą zwykle w książeczkach dla dzieci. Ja myślę, że takich dziewczynek niema nawet na świecie; wszyscy, młodszy i starsi, mamy podobno wielką ochotę do złego i musimy z nią walczyć nieustannie. Co do mnie, i dziś jeszcze, będąc już dorosłą, wyznaję to szczerze, nieraz staczam sama ze sobą takie walki, jaką niegdyś stoczyłam w młodości na tej łące. Lecz gdy z pomocą Bożą pokonam te złe popędy, czuje się tak szczęśliwą, ach, tak szczęśliwą! Młodzi czytelnicy, nie zrozumiecie tego szczęścia, póki nie doznacie go sami ..

(D. c. n.).

SZARADA (Różia D.).

Trzecia wspak
Z pierwszą tak:
Morski ptak —

Na północnych morzach żyje,
W lśniącej bieli, jak na bal,
Czarna wstęga stroi szyję,
Grzbiet okrywa takież szal —
Chód ma chwiejny, niby tańczy,
Nogi żółte, szary czub,
Błękit z barwą pomarańczową
Ślicznie zdoła jego dziób —

Drugich, jako miar przestrzeni,
Liczą mędrcy i uczeni
Tżąd do księżycy mniej więcej
Czterdzieści dziewięć tysięcy.

Wszystko — imię, które noszę.

Łamigłówka głoskowa.

lew — mak — ser — kos — raz — bal — wół
— łan. — Z każdego z tych wyrazów wyjąć jedną literę, aby razem złożyły nazwę miasta.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

Zadania konikowego:

Laleczko moja malutka,
Oj wielka z ciebie flutka,
Przymilasz mi się tak słodko,
Laleczko, moja pieśzcotko.

* * *

Sukienki ci się zachciało,
A masz ich przecież nie mało,
Lecz tobie śni się już nowa,
Prześliczna adamaszkowa.

„Do lalki“ wierszyk drukowany w II-im tomie Wieczorów Rodzinnych).

Łamigłówki głoskowe:

Janów.
Ostre
Wan
Ile
Ser
Zorza
Jowisz — Wenera.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Stasi K w Meranie. Przesłaliśmy Pisemko od początku kwartału, gdyby jeszcze którego N-ru brakło, prosimy o wiadomość, a natychmiast będzie wysłany. Dołączyliśmy do tej przesyłki książeczkę na długie wieczory zimowe. Radziłyśmy bardzo otrzymać w liściku własnoręcznym uwiadomienie, czy wszystko to doszło szczęśliwie. Mała podróżniczka Józia, której przygody tak zajęły Stasiunię kochaną, nadesłała do naszej redakcyi nowy szereg listów, ale musieliśmy je zostawić do następnego roku, bo w bieżącym za mało już miejsca mamy.

Olesiowi R. w Kijowie. Podróż niemniej zajmującą, jak poprzednie, mamy już w pogotowiu; nie możemy jednak dogodzić życzeniu kochanego korespondenta i natychmiast ją rozpocząć, bo nie dałaby się ukończyć w tych kilku N-rach Pisma, które nam do Nowego roku pozostają. Nowo przybywający prenumeratorzy bardzo nie lubią czytać dokończenia powiastek i podróży, których początku nie znają, a przesyłanie tych początków, jeśli się w licznych N-rach mieszczą, nam znów za dużo kosztu i kłopotu przyczynia. Dla uniknięcia tego, wszystkie dłuższe opowiadania w bieżącym roku ukończymy, a w pierwszym N-rze roku następnego same nowe rzeczy rozpoczniemy.

Janince K. (adres nieczytelny). Kazio pyszni się

ogromnie liścikami czytelników i czytelniczek, którzy się o jego korespondencją upominają. Siedzi obecnie w godzinach wolnych od lekcji nad stosami nowo wydanych książek, o których w następnym tygodniu chce napisać. Jeszcze nie wszystkie nowości ukazały się w handlu, ale dużo w tym roku przybędzie dobrych książek dla młodzieży. O wszystkich Kazio poda wiadomość.

Ludwini R. w Odesie. Z wydawnictw francuzkich, dla młodzieży polecamy *Magasin d'Education et de Récreation* z niemieckich *Kindertaube*. O książkach dla dzieci i młodzieży w obcych językach podamy niezadługo obszerniejszą wiadomość, gdyż kilkakrotnie nas o to proszono. Ponieważ młodzież z konieczności uczy się obcych języków, więc i książki w tych językach czytać musi, trzeba tylko wybierać najlepsze. Ponieważ księgarze teraz właśnie przy nadchodzących świętach sprowadzają i zagraniczne świeże wydawnictwa, więc postaramy się podać o nich wiadomość.

Do wszystkich. Odwołujemy się do poczciwych serduszek naszych młodych czytelników i czytelniczek. Nieraz już polecaliśmy im ubogich i nieszczęśliwych, potrzebujących pomocy, a zawsze chętnie nadsyłali datki. I tak: niezbyt dawno biedna wdowa, nazwiskiem Sierkowa, dla której zbieraliśmy na stragan, za przesłane przez dobroczynne osoby pieniądze nabyła, nie stragan, ale sklepik porządný, przy ulicy Freta wązkiej Nr. 42. Wdowa ta, liczną obarczona rodziną, 'znowu jest obecnie w kłopotcie, gdyż urządzenie sklepiku pochłonęło wszystko i dług nawet zaciągnąć musiała. Prosimy więc o nowe dla niej datki, choćby w najdrobniejszych kwotach, co teraz przy przysyłaniu prenumeraty najłatwiej uczynić. Osoby zamieszkałe w pobliżu ulicy Freta wielką jej łaskę wyświadczając, kupując u niej cokolwiek w sklepiku.

SPIS KSIĄŻEK,

które prenumeratorzy **Wieczorów Rodzinnych** nabywać mogą za pośrednictwem redakcyi po cenie zniżonej.

Wydawnictwa p. Maurycego Orgelbranda.

Dzieduszycka Anastazy. Jak sobie dziatwa radziła. Opowiadanie dla młodzieży od lat 9 do 12 w oprawie kartonowanej. Cena katalogowa rs. 1 zniż. ua 75 kop.

„ Z dziedziny przyrody, przekład z Carey'a z dwiema rycinami, w opr. kart. cena kat. 70 kop. zniż. na 50 kop.

„ Szary dom, powieść dla młodzieży, przekład z ang. Greene'a cena kat. kop. 50 zniż. na 35.

Czepieliński Fl. Sława, opowiadania z historyi starożytnej dla młodego wieku, ozdobione licznymi wizerunkami, w opr. kart. cena kat. rs. 1 20 zniż. na 90 kop.

Hoffmanowa Kl. Powieści z Pisma Świętego cena kat. 1, 50 zniż. 1 rs.

Izdebska Wł. Praca bogactwem, powieść dla dorastającej młodzieży, w opr. kart. rs. 1 zniż. 75 kop.

Teresa Jadwiga. Ze świata rzeczywistości i ze świata marzeń, 5 powieści dla dzieci z 5 rycinami w opr. kart. cena kat 1, 20 zniż. 90 kop.

Zajączkowska Z. Trzy powieści dla dzieci z 6 rycinami w opr. kart. cena kat. 1, 20 zniż 90 k.

A. S. Powieści dla młodego wieku cena kat. 1 zniżona 75. toż samo z rycinami ceną kat. 1, 50 zniż. 1, 20.

Duch opiekuńczy, czyli dziennik dziecinny 2 tomy cena kat. 1 80 zniż. 75 kop.

Wydawnictwa pp. Lesmana i Świszczowskiego.

Buckley Arabella B. Czary w krainie wiedzy, przekład z angielskiego cena kat. 1, 80 zniż. 1, 35.

Pape Carpentier. Małe powiastki, przekład z francuzkiego cena kat. 80 kop. zniż. 60.

Za przesyłkę pocztą dołączyć należy 20 kop. do każdego rubla.

(Spis ten będzie się ciągle powiększać, gdyż i inni panowie księgarze przyrzekli nam niektóre swoje wydawnictwa ustępować po cenie zniżonej dla czytelników naszego pisma).

OD REDAKCYI.

Wieczory Rodzinne w roku następnym wychodzić będą pod tym samym kierunkiem i na dotychczasowych warunkach. Przygotowaliśmy dla czytelników naszych między innymi następujące utwory: Michaliny Zielińskiej (M—a) **Duch Zamczyska**, powieść z czasów dawniejszych — **Gawędy podśluchane u niemnowej fali.** — **Skarbiec pamiątek ojczystych**, zbiór podań i legend dawnych. Teresy Jadwigi Papi: **Pamiętne Chwile.** — M. J. Zaleskiej: **Tajemnica Rodzinna**, powieść z gór karpackich — **Dwie siostry**, opowiadanie z dziejów wynalazków — Różnych autorów: **Obrazki z dziejów starożytnych** — **Księga pamiętnych czynów**, przykłady z życia ludzi zasłużonych, z dawniejszych i nowszych czasów czerpane. — **Wędrowki młodego chłopca po kraju rodzinnym.** — Nowy szereg pogadanek o literaturze i znakomitych pisarzach polskich.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty wprost pod adresem redakcyi:

Mazowiecka Nr. 8.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



Dziewieczka i Babcia.

— Moja Babciu ukochana,
Patrz, jak męcę się od rana,
Patrz na moje szycie:
Płótno grube, grube nitki,
Więc się robi obręb brzydki,
Aż się przykrzy życie!
Jak zwyczajnie człowiek stary,
Bierze Babcia okulary,
Patrzy na chusteczkę,
I tak rzecze: — Ej, dziewczuszko,
Prawdę powiem ci na uszko:
Tyś leniuch troszeczkę!
Ani płótno, ani nitka,
Tylko niechęć bywa brzydka,
Kiedy nudzi szycie;
Gdy robota zajmie szczerze,
Ścieg się każdy bacznie bierze,
Nie przykrzy się życie.

CIEKAWOŚĆ UKRANA.

Powiastrka.

Zosia miała brzydki zwyczaj podsłuchiwania podedrzwiami. Rodzice i starsi często o ta-

kich rzeczach między sobą rozmawiają, których dzieci nie rozumieją, albo które ich nie powinny obchodzić.

Siostrzyczki i bracia Zosi chętnie też ustępowali wówczas z pokoju i bawili się grzeecznie, nie troszcząc się o to bynajmniej, dla czego przed nimi coś kryją.

Inaczej się działo z Zosią; odymała buzię, różne wymyślała powody dla dłuższego pozostania w pokoju, aż ją Mama nieraz ofuknąć musiała porządnie.

Gdyby chociaż odeszła naprawdę, ale gdzie tam: stanąwszy przy drzwiach, uszko to oko do dziurki od klucza przytykała i niedobrze coś usłyszawszy, nieraz coś bardzo śmiesznego powtarzała. Zosia często za to odbierała burę, ale to było napróżno.

Pewnego razu podczas obiadu przyniesiono z poczty ogromny list z pieczęciami. Zosia rada była dowiedzieć się, od kogo.

— Co też ciocia pisze? — zagadnęła nieśmiało?

— A z kądże wiesz, że to list od cioci?

— A bo onegdaj słyszałam, jak Mama do Tatki mówiła, że się spodziewa odpowiedzi.

— Jakże mogłaś słyszeć, kiedy cię nie było w pokoju? — rzekła Mama — pewnieś znowu podsłuchiwała. Czasby już, moja Zosiu, pozbyć się tej brzydkiej wady.

Dziewczynka zawstydzona zamilkła, a choć wkrótce przyniesiono na stół naleśniki, ulubioną jej potrawę, ze wstydu nic nie jadła.

Po obiedzie i dni następnych rodzice długo z sobą rozmawiali, służący sprząтали mieszkanie, czyścili wszystkie meble, coś w pakach i paczkach znosili, dla czego i po co, Zosia dowiedzieć się nie mogła.

Przyszła pewna znajoma Mamy i zdziwiona tylu zmianami, spytała o ich przyczynę.

— Przejdźmy do saloniku, to ci opowiem wszystko — rzekła Mama i obie panie poszły, zamknawszy drzwi za sobą.

Zosia siedziała przy oknie z robotą. Pokusa była zbyt silna; rzuciwszy na ziemię szydełko i kłębuszek, przyłożyła naprzód ucho, a potem słysząc, że Mama coś pokazy-

wać będzie, zaczęła patrzeć. Jaknajwyraźniej usłyszała, że ciocia jutro przyjeżdża, że będą tańczyć; zobaczyła śliczne krakowskie przebranie dla siebie i rodzeństwa.

Zapatrzona, zachwycona, nie miała ochoty odejść, ale Mama i pani doktorowa się zegnaly, więc i Zosia na dawne miejsce wróciła.

Przyszedł braciszek Kazio ze szkoły, dobry chłopczyk, ale też i figlarz niezmierny. Zobaczywszy Zosię, zaczął się śmiać.

— Cóż to posiwiłaś tak nagle.

Dziewczynka przerażona podbiegła do łustra. Na czarnych jej włoskach z daleka bieleła się duża plama. Drzwi były świeżo pomalowane, Zosia o tem zapomniiała. Mama, domyśliwszy się łatwo całej prawdy, mimo że i prośb Zosi, a nawet cioci, nie pozwoliła żadnych użyć środków do wywabienia plamy.

W saloniku wesoło płasali, a choć Zosi przynieśli lodów i cukierków, dziewczynka ze zmartwienia nic nie jadła, tylko płakała.

W kilka dni, gdy przestała bez ustanku zadawać pytania, plama raptem znikła, lecz pamięć doznanej przykrości długo tkwiła w główce dziewczynki i chroniła ją od podśluchiwania w dalszym życiu.

Marya Ciświcka.

JALMUŻNA.

Wszedł w progi domu staruszek siwy,
Mówiąc, że bardzo jest nieszczęśliwy,
Bo już do pracy sił mu nie staje,
Często też za to głodu doznaje.
Więc Frania Mamy o datek prosi,
I staruszkowi pieniądz przynosi,
Ciesząc się bardzo, że pomódz może.
— O! dzięki tobie, wszechmocny Boże!
Dobra panienko! — staruszek powie,
Niechaj cię strzegą wciąż aniołowie!
Niech Bóg swe łaski na ciebie zsyła!
— O! wielkieś rzeczy, Franiu, robiła!
Rzecz z przekazem Zenonek mały.
(A jest to chłopiec zły i zuchwały)
Czy za to biedny wdzięczność ci dłużny,
Że udzieliła Mama jałmużny?
A za pieniążek, co ci dlań dała,
Tyś słów podzięki tylko słuchała!
No proszę... proszę... wszak to nauka:
Być miłosiernym niewielka sztuka!
O! hojna bardzo, dobra Franeczka,
Gdy weźmie pieniąż z Mamy woreczka!

— Niedobry chłopcze! — Mama mu powie,
Zazdrość przebija w każdym twym słowie;
I widać główka bardzo jest pusta,
Kiedy szyderstwem plamić chcesz usta.
Wprawdzie jałmużny jam udzieliła,
Ale mnie o nią Frania prosiła;
Sama biednemu dać co nie miała,
Jednak serduszek swe pokazała.
Być hojnym, rzekieś, nic to trudnego!
A więc dla czegoś nie zrobił tego?...
Ach! więcej dobre serduszek znaczy,
Niżli największe skarby bogaczy!

Helena Bojarska.

ŻABA A PTAK.

(z czeskiego).

Żaba poczęła zazdrościć ptakowi, że wysoko buja pod niebem, gdy ona po ziemi pełzać musi.

— Nie jest to widać tak trudno — rzekła — muszę spróbować, wejdę powoli na wysoką skałę, a potem z jej szczytu frunę na dół i ot potrafię to samo, co każdy ptak.

Rzekłszy to, żaba poczęła zwolna wchodzić na skałę. Po wielu usiłowaniach, doszła wkońcu do jej wierzchołka. Siadła wtedy na brzegu, i patrząc z zachwytem na dół, mówiła:

— Jakże piękny widok roztacza się ztąd dokoła; wszystkie cuda przyrody są u stóp moich, wznoszę się teraz ponad ziemią, jak ptak i wtedy dopiero znajdę się prawdziwie na wysokości mego powołania!

I podnosząc dumnie głowę, żaba rozciągnęła wszystkie swe cztery nogi naksztalt skrzydeł, a potem hop! do góry i... i leciała w przestrzeni, aż... spadła martwa pod skałę na stos kamieni, o które się rozbiła.

MAŁY SAMOLUB.

Józio, syn bogatych rodziców, był bardzo skąpy; ile razy jaki przysmaczek dostał od rodziców, nigdy nie chciał podzielić się z rodzeństwem. Najczęściej wlaź w kącik i sam zjadł, albo schował w jaką kryjówkę, gdzie się wszystko popsulo.

Nadeszły imieniny chłopczyka, Matka, znając usposobienie syna, przygotowała mu niespodziankę. Na samym końcu dużego ogrodu była altanka, jak mały domek z oknami oszklonemi; Mama kazała dorobić okienice i wewnątrz ustawiła dokoła małe świeczki. Na stolikach